



Stefan Żeromski - Ludzi bezdomni, część 7.

Judym wyjeżdża, wyjaśniając Joannie, że nie może inaczej postąpić. Na jakiejś stacji spotyka dawnego znajomego z Paryża - inżyniera Korzeckiego. Zabiera go do Zagłębia, gdzie (Judym) zostaje lekarzem przy kopalni. Na drugi dzień zwiedza z Korzeckim kopalnię.

Ciemność, ciemność gęstą od kwaśnego czadu rozświecał tylko czasem daleki ognek niewidzialnej postaci. W pewnych miejscach były tam schody, a właściwie szczeble do tarcic przybite; gdzie indziej szło się po oślizłej desce. Na dnie kopalni, w głębokości dwustu kilkudziesięciu metrów pod ziemią, zimny i wilgotny przeciąg włókł się korytarzami. Była ich tam sieć cała, w której przychodzić doświadczać bolesnego niepokoju, jaki wstrząsać musi rybą, gdy się spotyka z gęstymi okami matni. Szli w jakimś kierunku, który wydawał się stroną prawą, do lochu dźwigającego się w górę pochyło a stromo i tworzącego ślepą sztolnię. Wkrótce musieli schylić się w pałąk, gdyż piętro było tak niskie, że pod nim ledwo mógł się przesunąć wózek z „urobkiem”. Gdzieś daleko, jakby u szczytu tej góry, widać było chodzące z miejsca na miejsce bladożółte światełka. W zakłęstej komorze, która się nagle znalazła, słychać było pracę kilku ludzi.

- G l i k a u f! - rzekł Korzecki.

Odpowiedziano chórem przyjaznymi głosami, które dziwne i głębokie zrobiły na Judymie wrażenie.

„G l i k a u f, g l i k a u f...” - mówił do nich i on w głębi duszy.

Właśnie wtedy przerwało jakby tamę swoją nowe źródło tęsknoty za Joasią, tęsknoty tak bolesnej, bardziej bolesnej niż w chwili pożegnania...

Górnicy w czarnych „kapach” i w „berglederach” nabijali prochem, grubym jak ziarna kukurydzy, długie tuleje papierowe. Otwory w miejscach właściwych już były wyświdrowane długimi „laskami” ze stali, o zakończeniach podobnych do grotów piki. Gdy ładunek został nabity, lont weń włożony i przystemplowany z wierzchu szczelnie gruzem za pomocą stępora, jak nabój w lufie - jeden z pracowników zapalił dwa żygadła, drugi - dwa, trzeci - dwa. W mroku gęstym od pyłu i dymu ukazały się niby jakieś niebieskawe strugi cieczy sączącej się od góry. Płomyczki doszły do muru - i znikły.

Wówczas drabiny szybko odstawiono i wszyscy z pośpiechem weszli do sąsiedniego chodnika. Tam czekali z dziesięć sekund, nim się odezwał pierwszy wybuch. Prąd powietrza runął w sąsiednie galerie i komory, dźwigając

Miejsce na Twoją reklamę
info: reklama@lykwiedzy.pl

na sobie ostry zapach prochu. Bryły węgla huczac waliły się za przyległym filarem, a na wszystkie strony w ścianach coś sypało się z prędkim trzaskiem i szelestem, na podobieństwo stada szczurów biegających za makatami. Potem nastąpił drugi wybuch, za nim trzeci i czwarty. Dym wypełnił galerie i ciągnął leniwie do przejść, w których się „świeci”. W dali słychać było huk ładunków dynamitowych i czuć słodkawą ich zapach.

W pewnym miejscu Korzecki przywołał kogoś po imieniu i zostawił go z Judymem, a sam odszedł. Musiał obejrzeć robotę w innej całkiem stronie. Doktor został w ciemności z widmem trzymającym swą lampę. W sąsiedztwie tego miejsca kilkunastu ludzi zajętych było podstemplowywaniem „piętra”. Chwilę obydwa z górnikami stali nic nie mówiąc do siebie. Wreszcie Judym podniósł lampę do góry i zobaczył szerniałą twarz starego człowieka, którego siwe włosy wymykały się spod „kapy”.

- Co robisz tutaj, ojciec? - zapytał.

- A caliznę wyrabiamy między chodnikami.

- Caliznę?

- Juści. Filar wybieramy. Bierzymy jedno p o j ę c i e za drugim na długość i na szerokość, podpieramy strop słupem - i dalej. Po boku stawia się „organy”... Proszę łaski... pan może i nie znajomy z kopalnią?

- A nie. Pierwszy raz widzę.

- Tak ci...

- Cóż to za organy?

- To zaś są kłody na sztorc stawiane, żeby służyły tak jakby za ściankę. Z przodu też, od chodnika przy kończeniu strefy drugą taką ścianę się buduje, a zostawia się zaś miejsce próżne, niby tak jakby drzwi. A wyrobi się całą strefę z okruchów się ją wyczyści, to się dopiero te słupy zaczyna wyjmować, a inne się tną toporem. Gdy pracownik górnik usłyszy w cichości największej pierwszy, aby mały trzask piętra, wtedy kilof do garści i umykaj z pojęcia! Ziemia się urwie w tym miejscu i rumowiem całe to zawali. Na wierzchu, na górze zawalisko w dół wciągnie, tak jakby lej...

Judym podniósł do góry swą lampę i przyglądał się ścianom. Gładkie albo chropawe ich płaszczyzny tu i ówdzie miały na sobie rysy ostrego żelaza, jakby pismo jakieś klinowe pracownicy wyryte. Idąc z wolna obok gładkiej ściany, miał złudzenie, jakby je czytał. Ze znaków koślawych, kierujących się to w tę, to w inną stronę składała się historia tych czeluści.

Zdawało mu się, że stoi w cudownym lesie, w puszczy odwiecznej, nie sianej, przez którą nie szła jeszcze stopa człowieka. Rosły naokół olbrzymie paprocie z pniami, jakich nie obejmie trzech ludzi, skrzypy w drzewa wybujałe, straszne widłaki i inne, niewidzianych form, mistycznej piękności albo potwornej brzydoty, jakieś sigillaria, odontopterydy, lepidodendrony... Te wielkie potwory, splecione między sobą łańcuchami lian, krzewiły się na

Miejsce na Twoją reklamę
info: reklama@lykwiedzy.pl

pulchnym trzęsawisku, gdzie mchy przepyszne i niewysłowione kwiaty pachniały w czarnym gorącu wieczystych cieniów. Słodkie, upalne lata wyciągały z ziemi pod chmury te pnie i gałęzie, dostępne tylko dla wzroku i skrzydeł, wilgotne, deszczowe zimy zasilaty glebę na wieki. Swobodne wichry, w dalekich stepach i w śniegach łańcuchów górskich zrodzone, przylatywały bić puszcę rycząc jako szczenięta lwie.

Wtedy kołysała w łonie swoim pieśń huczącą na podobieństwo morza. Jakże często trząsał w nią piorun, a huragan ją deptał, łupił i rwał! Dzikie chmury iskrą czerwoną zapalały jej głębie śpiewające. Wtedy gorzała jak wielki stos. Ale gdy deszcz ustawał, przychodziła wieczyście młoda, lilioworamienna wiosna, jak dziewczątko szukające kochanka, i swawolnymi usty zdmuchiwała pyły roślin w ziemię rozmokłą, marzącą o cieniu konarów. Nowe morze zieleni wylewało się na ten sam grunt, przez który pędziły krzemienne kopyta ognia i szprychy jego wozu tak samo prędkie jak wichry.

I znowu na ciszę gęstwin młodej puszczy przypadał niespodziewany krzyk wojenny jaguara i rozdzierał ją wrzask, śmierć głoszący, bezlitosnego orła.

Aż oto wielkie jakieś morza w głębi lądów próżnujące wyrwały się ze swoich grobel i puściły prądy szalone, które zdjęty z korzeniem olbrzymie lasy, niosły je w pianach swych niby flotę okrętów zdruzgotaną i pchały w te zakłęśłe niziny. Tu je niezmierną masą wwały jakby do grobu. Przykryły je warstwami gruntu zdjętymi z gór. W ciągu tysięcy lat w ciałach tych krzewów, na których gałęziach ptaki niezliczone gniazda sobie stały, ustało życie i począł się tajemny rozkład. Wielkie ciśnienie zapadniętych warstw, napływy wód i czas wiekami idący czyniły sprawę podziemną: stwarzanie wody z tlenu i wodoru tych cielsk obumarłych, wydobywanie z nich kwasu węglowego i tlenku węgla. Został tylko węgiel sam, jedyny, w olbrzymim nadmiarze, nie mający się z czym połączyć, jak samotny duch ciemności. Straszliwe jego cielsko martwiało, stygło i umierało w sobie samym tysiące lat. W męczarni zrastało się samo ze sobą, tuliło się do siebie jak byt przeklęty. Z dawnej budowy nic nie zostawił czas długi. Tylko jakby jedyne echo z ojczyzny, gdzie wszystko kwitło, rośło i kochało się w niebiosach - został nikły rysunek warstw pnia albo odcisk powiewnego liścia w czarnym, żałobnym kamieniu.

Długie prace przyrody, nie dające się myślą ogarnąć zaczyn i odczynienia, człowiek chwyta jako łup swój za pomocą pracy krótkotrwałej, chytrej i ułatwionej. Przychodzi w święte czeluście z bladym płomykiem i krótkim swoim kilofem. Siłą nędznego ramienia wyniesie to, co tu schował ocean. Bierze cały pokład do cna, od wychodni do upadu, zgrzebie okruszyny i na świat wyda. Zostawi tylko hałdę na wierzchu i próżnię w głębinie.

Ziemia nie oddaje swej pracy i swojego dorobku bez walki. Prosta i obojętna jak dziecko, od człowieka uczy się zdrady. Czyha na niego z bryłami, które ruszył, ażeby mu je cisnąć na głowę, gdy się nie obejrzy. Rozsiewa w jego komorach śmiertelne gazy i czeka, jakby w niej biło serce pana puszczy zmarłych - tygrysa. Wylewa zaskórne, niewidzialne wody. Spuszcza ciemne jeziora, od wieków nieprzeliczonych kropla po kropli zebrane, a śniące na zimnych granitach. Otwiera podziemne baseny kurzawki, którą zawaliska ruszyły, i gliniastym jej mułem napętnia galerie pracowicie wykute.

- Nie porwał was skarbnik? - zawołał znienacka Korzecki wynurzając się z mroku.

Miejsce na Twoją reklamę
info: reklama@lykwiedzy.pl

Poszli długim chodnikiem. Z bliska i z dala szły szeregi wózków ciągnionych przez konie. Każdy z tych pracowników włókł tak za sobą całymi latami przekłęte wozy. Gdy mijali postępującego w ciemności odwracał na bok głowę i oczy, które już razi żółty blask światła.

Przyszli wreszcie do szybu, który ich z dna kopalni miał podrzucić o sto metrów wyżej. Woda lała się tam strugami, kapła w szalę, ciekła po drzewie cembrowiny. Stanęli w mokrej windzie wśród ludzi wrzeszczących, przemokłych, ze złymi twarzami, i w ciągu jednego momentu wyniesieni zostali na powierzchnię górną. Szli stamtąd ciemnym i nieskończenie długim korytarzem. Było w nim zimno i wilgotno. Strop walił się tu i ówdzie, wyginał kapy i miażdżył okładziny. Śmiertelnej czarniawy nie rozświećlały nawet ogniki górnicze. Czasami tylko słyszeć się dawał odległy turkot i krzyk wozaka. I znowu z mroku wynurzał się koń-górnik, odwracał swe smutne, stęsknione, beznadziejne oczy, jakby mu był wstrętny widok człowieka i ginął w wiecznym grobie.

W pewnej chwili Judym usłyszał przed sobą w ciemnościach rozmowę, a raczej monolog. Ktoś mówił dobitnym głosem:

- Fuks, mówię, nie zwalone!

Chwilę trwało milczenie i znowu odzywał się ten sam głos z podwójną natarczywością:

- Nie zwalone, Fuks! K i e j nie zwalone, to nie zwalone...

Korzecki pociągnął Judyma do ściany i szeptem objaśnił, co to znaczy:

- Czasami koła jednego z wózków, szczepionych między sobą, z szyn wyskoczą. Wówczas koń, imieniem Fuks, staje, gdyż nie ma siły uciągnąć, a zresztą i następne wózki zaraz się wykoleją. Poganiacz musi nadnieść i wstawić wózek w szynę. Gdy to uczyni, woła na konia, że już tę robotę wykonał. Ale nieraz przychodzi mu o jeden wózek za wiele i wówczas koń również staje sądząc, że to skutek wykolejenia. Poganiacz zapewnia go krzykiem, że „nie zwalone”, ale koń, pociągnąwszy z lekka, nie rusza się z miejsca, gdyż czuje ciężar większy niż należy. Wówczas furman musi go przekonać: idzie wzdłuż wózków aż na sam ich koniec i stamtąd dopiero jeszcze raz uroczyście krzyczy swoje: „Fuks, nie zwalone!” Natenczas biedny koń godzi się z myślą, że go wyzyskują, zbiera siły i wlecze dalej w ciemności swoją dolę. Może nawet przychodzi do świadomości, co to jest, może nawet po cichu wzdycha albo ściska zębcę, ale przystać musi na taki układ, bo gdyby marzył albo usiłował protestować za pomocą, dajmy na to, stania, toby mu poganiacz batem grzbiet w y ł o ł i na tym skończyłoby się polepszenie stosunków.

- No, ale wy powinniście tego zabronić... - rzekł Judym.

Inżynier podniósł wyżej swą lampę i rzekł z maltretującym, szyderczym uśmiechem:

- A, ja zabraniam, surowo zabraniam...

Po chwili rzekł jeszcze:

Miejsce na Twoją reklamę
info: reklama@lykwiedzy.pl

- Ja zabraniam, zabraniam z całej duszy, ale już nie mam siły...

Miejsce na Twoją reklamę
info: reklama@lykwiedzy.pl

Prawa autorskie zastrzeżone. Wykorzystanie materiałów do jakiegokolwiek celu poza użyciem prywatnym, w całości lub we fragmencie, wymaga pisemnej zgody portalu www.lykwiedzy.pl